



Kryminał z myszką

21

KAPITAN STEFAN BULA NA TROPIE

ELEFONOWAŁ
MOR-
DERCA

Jan Bernard

Jan Bernard

TELEFONOWAŁ MORDERCA

Kryminał z myszką – Tom 21

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-72-4

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Iskry, Warszawa 1969 (Ewa wzywa 07)

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Jan Bernard to pseudonim literacki Bohdana Peteckiego

PROLOG

Mężczyzna zdjął ręce z kierownicy i spojrzał na zegarek. Było pięć po ósmej.

Łabędy, małe przemysłowe miasto koło Gliwic, pustoszeją o tej porze dnia. Ekspedientki sklepów mięsnych i jarzynowych, odprawiawszy forpoczty gospodarskiego zaplecza kilku tysięcy rodzin, parzą spokojnie herbatę. Ciasne kolumny ludzi, uformowane z bezładnych grup, które ciągnęły od dworca, przystanków autobusowych, od porozrzucanych podmiejskich osiedli, dawno już rozplynęły się za bramami zakładów.

Mężczyzna otworzył walizkę. Był to modny, kolorowy sakwojaż. Rozkładał się na dwa równej wielkości prostokątne pudła. W jednym z nich, bliższym kierowcy, spoczywało w równiutkich stosach kilkadziesiąt książeczek oszczędnościowych PKO. Z każdej sterczał skrawek wyrwanego i wypełnionego kuponu, jaki oddaje się żądając wypłaty.

Mężczyzna wciągnął rękawiczki, wziął pierwszą z wierzchu książeczkę i położył ją obok siebie na siedzeniu. Wyjął dowód osobisty. Z żółtej teczki, spinanej przez środek paskiem, wyciągnął złożoną mapę. Była to szczegółowa mapa województwa katowickiego. Obejmowała obszar od Strzelc Opolskich na zachodzie po Kraków. Złożono ją w taki sposób, że na wierzchnim arkuszu znalazły się miasta i osiedla Niecki Węglowej. W Łabędach zaczynała swój bieg naniesiona na mapę czerwona linia. Ciągnęła się równolegle do dróg od miasta do miasta. W obszarach zabudowanych wiodła wzdłuż ulic, kreśliła półkola i trójkąty, wracała – i opuszczała osiedle, wybierając najkrótszą drogę do następnego. Na pierwszy rzut oka było widoczne, że linia ta wytycza szlak łączący jakieś obiekty w rejonie, gdzie duże miasta sąsiadują ze sobą o miedzę, który jest w istocie jednym – największym w kraju – organizmem miejskim. Dochodziła do Mysłowic, dalej biegła już odwrotną stroną arkusza – przez Jaworzno, Trzebinę i Krzeszowice do Krakowa.

Mężczyzna znał widać trasę, bo pobieżnie spojrzawszy na mapę, wrzucił ją szybkim ruchem do schowka w desce rozdzielczej. Była ósma piętnaście. Zapuścił silnik i ruszył. Zatrzymał się zaraz za rogiem, wziął leżącą obok siebie książeczkę i dowód osobisty, po czym pośpiesznie wysiadł, nie gasząc motoru. Wbiegł na schodki prowadzące do bramy białego, piętrowego budynku. Na ścianie obok wejścia widniała tablica z napisem: „Urząd Pocztowo-Telekomunikacyjny Łabędy 2. Wpłaty i wypłaty PKO”.

Niebawem wrócił do wozu, wrzucił książeczkę do pustej połowy walizki, położył obok siebie następną, a do żółtej teczki włożył cztery pięćsetki. Cała operacja od momentu zatrzymania się samochodu koło białego budyneczku trwała cztery minuty. Po następnych czterech minutach mężczyzna ostro zahamował przed czerwonym blokiem, którego bramę zdobiła tablica z napisem: „Urząd Pocztowo-Telekomunikacyjny Łabędy 1, Wpłaty i wypłaty PKO”.

ROZDZIAŁ I

Bula zmiażdżył kartkę, ugniół ją starannie w twardą kulkę, którą następnie z impetem wrzucił do kosza. Po chwili na kolejnym arkuszu, śnieżnobiałym w świetle biurowej lampy, zaczął rosnąć rząd słów opatrzonych cyframi. „Narty Kazio – osiemset”. „Buty Kazio – sześćset”. „Sweter Irena – sześćset”. – Przekreślił „sześćset”, napisał: „osiemset”, „Mama – czapka i kołnierz... prezenty dla Tadeuszków... drzewko...” – Odsunął kartkę i westchnął.

Kapitan Stefan Bula, zwany przez przyjaciół z Wydziału Dochodzeniowego „piłą”, a przez nieprzyjaciół „cholerną piłą”, nie był sknerą. Owo westchnienie nie miało nic wspólnego z rodzinnymi uczuciami kapitana ani też jego stosunkiem do grudniowych tradycji. Należało odnieść je bezpośrednio do wizji błyszczącej kolorowym lakierem

„Skody”, która oddalała się od Buli o perspektywę kolejnego miesiąca. Było oczywiste, że jego książeczka oszczędnościowa nie wzbogaci się w grudniu ani o grosz.

Kapitan wstał i podszedł do okna. W świetle latarni lśniły kałuże, po szybie spływały krople deszczu i brudne pacynki śniegu. Okrągły, ścienny zegar wskazywał godzinę dziewiętnastą.

Zadzwonił telefon. Bula obrzucił niechętnym spojrzeniem szarugę na ulicy i wrócił do biurka. Zameldował się dyżurny. Ktoś wzywał milicję na ulicę Bacha. Kapitan polecił przełączyć rozmowę na swój aparat. Po chwili w słuchawce zabrzmiał stłumiony męski głos:

– Halo?

– Kapitan Bula. Słucham.

– Przyjedźcie na ulicę Bacha siedemnaście. Był napad na pocztę. Są ranni.

Głos był niski, spokojny.

Opanowany facet – pomyślał Bula. Zapytał:

– Skąd pan dzwoni?

– Jestem kierownikiem tego urzędu. Nazywam się Płata.

Dróżnik, przywołany syreną, podniósł szlaban. Kierowca poderwał wóz. Światła nadjeżdżającego pociągu były jeszcze daleko. Spod kół tryskały istne kaskady brudnej wody. Tutaj, na przedmieściu, ulice były już puste. Jechali wzdłuż szarych domów z małymi oknami, zasłoniętymi ażurowymi firaneczkami. Skręcili w ulicę Bacha. Minęli czerniejący w mroku masyw kopalnianej hałdy i wjechali między niskie zabudowania osiedla, od kilku zaledwie lat objętego obszarem „Wielkich Katowic”.

– To był wasz rejon, prawda? – zapytał Bula siedzącego z tyłu sierżanta.

– Tak – sierżant Tadeusz Środa obserwował ulicę z twarzą przylepioną niemal do szyby. – Siedziałem tu cztery lata. Poczta jest na następnym rogu.

– Pogoda jak na zamówienie – mruknął Kulski. – Jeżeli to kawał – dodał – to trzeba przyznać, że trudno o lepszy.

Doktor Andrzej Kulski był w życiu prywatnym sceptykiem, a poza tym serdecznym przyjacielem kapitana. Nikt nigdy nie słyszał, aby tym dwóm zasłużonym wyjadaczom, popularnym zarówno wśród niebieskich ptaszków, jak i obrońców prawa, udało się osiągnąć jednolitą opinię na jakikolwiek temat. Rozumieli się doskonale.

Niestety, nie był to kawał. Urząd pocztowy mieścił się na wysokim parterze starego, narożnego budynku. Do drzwi, otwartych teraz na oścież, wiodły strome, kamienne schodki. Przez małe, zakratowane okno sączyło się nikłe światło. Pochodziło z lampy stojącej na biurku za kontuarem. Tuż pod kloszem lampy błyszczały w świetle włosy kobiety. Półsiedząc, półleżąc na biurku zaciskała rękę na piersiach w okolicy prawego ramienia. Spod palców sączyła się krew. Poza nią w mrocznej sali nie było nikogo.

Bula przekreślił kontakt. Mrużąc oczy, porażone światłem, przeszedł za kontuar i pomógł Kulskiemu ulokować dziewczynę – mogła mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat – w stojącym pod tylną ścianą fotelu. Poleciwszy Środzie wezwać ekipę techniczną, rozejrzał się po pomieszczeniu. Niska szyba, oddzielająca biurka od drewnianej lady, miała zaledwie dwa okienka. Za jednym z nich stała waga i drewniana skrzynka z gwiazdkami – niemal muzealny okaz centralki telefonicznej. Biurko było uprzątnięte, nic nie wskazywało na to, by pracującej przy nim osobie miało coś nagle przerwać jej urzędowe czynności. Drugie okienko było przeznaczone dla klientów załatwiających operacje pieniężne. Na biurku, przy którym przed chwilą siedziała ranna dziewczyna, leżały różne kwestionariusze, formularze zestawień i recepty. Po lewej stronie, na rozpostartej płachcie „Trybuny Robotniczej” widniała nie dojedzona kromka chleba, nóż i skórki z kiełbasy. Obok stała szklanka „musztardówka”. Za kopertą biurową ustawiono drewnianą skrzynkę z różnej wielkości rynienkami,

dostosowanymi do poszczególnych wartości bilonu. Po prawej ręce, na otwartej poduszeczce z tuszem leżał datownik – stempel dzienny i, nieco dalej, pęk kluczy. Obok porzuconego długopisu błyszczało kilka kropel krwi. Bula zanotował w pamięci rozmieszczenie papierów i przedmiotów, po czym pochylił się nad przytwierdzoną pluskiewkami do wewnętrznej ściany kontuaru kartką z adresami i numerami telefonów pracowników urzędu. Po chwili wykręcił numer: 744-202. W słuchawce odezwał się ostry, nosowy głos.

– Pan Marek Płata? – spytał Bula.

– Tak. Słucham.

– Mówi kapitan Bula z Komendy Wojewódzkiej Milicji. Pan do nas dzwonił.

– Ja? Na milicję? – głos wyrażał zaskoczenie i niedowierzanie.

– Na pewno nie? – Bula znał już odpowiedź, pytał niemal machinalnie i tylko dlatego, że bardzo nie lubił tajemniczych telefonów do milicji i różnych innych „teatralnych” gestów przestępców czy chociażby świadków. Głos w słuchawce przeniósł się w wyższe rejony gamy:

– Mówię, że nie, to nie. Cóż to ma znaczyć? O co w ogóle chodzi?

– Dzwonię z waszego urzędu pocztowego – powiedział Bula. – Kilka minut temu zawiadomiono nas telefonicznie o napadzie na placówkę, której pan jest kierownikiem. Chciałbym prosić, żeby pan tu przyszedł. Możliwie jak najprędzej.

– Co się stało?

– Dowie się pan na miejscu.

Kapitan widząc, że Kulski kończy opatrunek, chciał jak najprędzej przerwać rozmowę. Głos jednak nie dawał za wygraną.

– Od trzech dni leżę w domu chory na grypę. Ale jeżeli to naprawdę konieczne, to oczywiście jestem do dyspozycji.

– Bardzo dobrze. Czekamy – Bula odłożył słuchawkę. Spojrzał pytająco na Kulskiego.

– Nic groźnego. Czysty postrzał w prawe ramię. Zagoi się w ciągu tygodnia.

Poważniejszym może się okazać uraz głowy. Trzeba prześwietlić.

– Co to było?

– Uderzenie kanciastym przedmiotem – Kulski wskazał leżący na podłodze duży dziurkacz, wykonany z lanego żelaza, na szerokiej, drewnianej podstawie.

– Można z nią porozmawiać?

– Uhm...

Bula przyjrzał się uważnie dziewczynie. Miała długie, wypielęgnowane włosy, mały, prosty nos i pełne usta. Kąciki przymkniętych teraz powiek odchyłały się ku górze. Była więcej niż przeciętnie ładna. Obnażone ramię, na którym Kulski umocował gruby opatrunek, nosiło wyraźne ślady opalenizny.

– Pani... – zaczął Bula.

– Habera. Na imię mi Litka.

Kapitan kiwnął głową.

– Panno Litko, w spisie pracowników widziałem trzy nazwiska. Kierownik zaraz tu będzie. Gdzie jest pani koleżanka?

– Nie było jej w pracy. Ani wczoraj, kiedy oni... przyszli, ani dzisiaj. Miała do załatwienia ważną sprawę... osobistą. Mówiła, że wróci dzisiaj wieczorem, może już przyjechała. Była w Lublinie. Ona się tam urodziła. Pojechała po metrykę. Potrzebna jej do ślubu. Pan Płata jest bardzo skrupulatny i Zosia chciała skorzystać z jego nieobecności.

Bula patrzył na ręce dziewczyny. Miała wąskie dłonie i długie palce. Wyglądała raczej na studentkę niż na pracownicę małego urzędu pocztowego w robotniczym osiedlu. Głos miała niski, dźwięczny, mówiła cicho, bez widocznego wysiłku. Od czasu do czasu zaciskała wargi, rana musiała być bolesna.

– Nie męczy pani mówienie?

Zaprzeczyła ruchem głowy.
– Proszę nam wszystko opowiedzieć.
Dziewczyna obciągnęła spódniczkę i ostrożnie poprawiła się w fotelu.
– Przyszłam wczoraj do pracy jak zwykle kilka minut przed ósmą...
– Wczoraj? – przerwał Bula.
Dziewczyna przytaknęła.
– Więc to stało się wczoraj? – Kapitan nie mógł połapać się w sytuacji.
– Tak. Trzymali mnie tutaj pełne dwa dni.
– Proszę mówić.
– Weszłam jak zwykle, tamtędy – wskazała wąskie boczne drzwi, prowadzące do klatki schodowej – chciałam zaświeceć światło, okiennice zawsze na noc zamykamy, wtedy poczułam, że ktoś chwytą mnie wpół i zasłania mi ręką usta. Drugi wyskoczył z przodu, krzyknął: „ani słowa” czy coś takiego i zagroził mi pistoletem.
– To znaczy, że czekali na panią tutaj, wewnątrz? – Bula, słuchając, kreślił coś na skrawku papieru.
– Tak.
– Drzwi od ulicy były zamknięte?
– Chyba tak. Oczywiście.
– Czy wchodząc bocznym wejściem przekreśliła pani klucz w zamku? To znaczy, czy pani jest pewna, że drzwi były zamknięte?
– Jestem pewna.
– Co było dalej?
– Zapalili tę lampkę i kazali mi usiąść przy biurku. Sami stali tak, że nie było ich widać. Dopiero po chwili zauważyłam, że mają na twarzy chustki, takie jakby apaszki z otworami na oczy.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI